

Bóg, marihuana i apartheid

27 marca 2019

„To nie twoje miejsce terrorysto!” – „Jesteś tylko rasistowskim śmieciem!” – ten żywy dialog, tak dobrze wprowadzający w atmosferę izraelskich wyborów parlamentarnych, toczył się między Itamarem Ben Gvirem, kandydatem rasistowskiej partii Żydowska Siła a Palestyńczykiem Ata Abu Medeghemem, obywatelem Izraela kandydującym ze Zjednoczonej Listy Arabskiej. Na środku sali Sądu Najwyższego (SN) w Jerozolimie. Obaj zetknęli się nawet brzuchami i nosami, ale jakoś ich powstrzymano.

Kilka dni później, kiedy Sąd już wydał swe postanowienia, atmosfera na jego salach pozostała wroga. Sędziowie uchylili postanowienie centralnej komisji wyborczej dopuszczające do kandydowania szefa Żydowskiej Siły Michaela Ben Ariego. Ocalał co prawda krzykacz Ben Gvir, ale to komplikuje budowę przyszłej koalicji rządowej wokół dotychczasowego premiera Benjamina Netanjahu. Włączenie do niej żydowskich faszystów było jego pomysłem. „Mam za sobą 100 tys. wyborców, którym sędziowska junta chce zamknąć usta!” – deklarował mediom wściekły Ben Ari, zdyskwalifikowany za głoszenie rasizmu. Nacjonaści chcą odsunięcia Sądu Najwyższego od interwencji w izraelską politykę.

Przewodniczący Knesetu Yuli Edelstein zwrócił uwagę na „inny poważny błąd Sądu”: dopuszczenie do wyborów Zjednoczonej Listy Arabskiej z Medeghemem i innymi. Sąd przywrócił też skreślonego przez komisję wyborczą prof. Oferę Cassifa, żydowskiego komunistę kandydującego z innej palestyńskiej listy (Hadasz). Według Edelsteina, w izraelskim Knesecie „nie ma miejsca dla antysyjonistów”.

Awigdor Lieberman, do niedawna minister obrony, który startuje ze swoją ultranacjonalistyczną partią Nasz Dom Izrael, nienawidzi Netanjahu. Ale koalicja z nim znowu wydaje się

nieunikniona: „W nowym Knesecie złożę projekt ustawy, która nie dopuści do ingerencji SN w prace komisji wyborczej” – ogłosił. Inny dotychczasowy i potencjalny koalicjant premiera, nacjonalistka Ayelet Shaked ze skrajnej Nowej Prawicy, nakręciła spot wideo, w którym zapowiada „kontrolę nad SN” i perfumuje się „faszyzmem”. Jest przekonana, jak wielu jej wyborców, że sąd stoi na drodze porządku w Izraelu. Goje nie mogą mieć tych samych praw, co żydowska większość.

120 miejsc Knesetu

W Izraelu obowiązuje integralnie proporcjonalny system wyborczy, więc 120-osobowy parlament dzieli kilkanaście partii. Bez tworzenia powyborczych koalicji nie ma rządzenia. Netanjahu dba o to przed wyborami: wie, że jeśli jego Likud zdobędzie powiedzmy 30 miejsc, trzeba będzie szukać większości „61” na prawo i prawo (na lewicy jej nie znajdzie).

Jego pomoc neonazistom z partii Żydowska Siła wydała się naturalna całej prawicy. Partię formują uczniowie żydowskiego ekstremisty z USA Meira Kahane, założyciela organizacji terrorystycznych i rasistowskiej partii Kach, ale dziś język kahanistów zbanalizował się. Funkcjonuje w wielu ugrupowaniach nacjonalistycznych, nie wyłączając najwyższych władz. 10 marca Netanjahu tłumaczył na Instagramie: „Izrael nie jest państwem wszystkich obywateli. Jest państwem narodowym obywateli żydowskich, tylko żydowskich”.

Ideologię jego Likudu określa się kurtuazyjnie jako „narodowy liberalizm”, ale gdyby ta partia funkcjonowała w Europie, byłaby zwykłą skrajną prawicą. Nacjonalizm dla Żydów, apartheid dla Palestyńczyków, bezprawny zabór i kolonizacja podbitych ziem, krwawe represje przeciw kontestacji tego porządku. Tę wizję Likud dzieli z wszystkimi innymi prawicowymi partiami nacjonalistycznymi w Knesecie, dlatego Netanjahu ma wielką szansę, by ponownie zostać premierem.

Obie partie ortodoksyjne (haredim) – Sefardyjscy Strażnicy Tory i aszkenazyjski Zjednoczony Judaizm Tory też dostarczą mu wsparcia w parlamencie, o ile przekroczą próg wyborczy 3,25 proc. O to jednak bije się większość ugrupowań. Do Knesetu kandyduje prawie pół setki partii, z czego próg może przekroczyć kilkanaście.

„Litzman mnie zabije!”

Te słowa premiera Netanjahu padły podczas jego ostatniej wizyty w Warszawie, gdy się dowiedział, że partie ortodoksyjne tym razem mogą mieć mniejsze poparcie niż zwykle. To zagraża planom koalicyjnym. Jaakow Litzman, szef Zjednoczonego Judaizmu Tory i jednocześnie wiceminister zdrowia (ministrem jest sam Netanjahu), został nakryty na fałszowaniu dokumentów.

Litzman czci dynastię chasydów z Góry Kalwarii. Jest bardzo pobożny i patriotyczny. Sprzeciwia się ekstradycji Izraelczyków-żydów do innych krajów, więc latami krył wystawianie fałszywych świadectw zdrowia sławnej w Izraelu Malki Leifer, by uniknęła rozpraw ekstradycyjnych. Ubiega się o nią Australia, bo nad Leifer ciążyą 74 oskarżenia o gwałty i maltretowanie małych dziewczynek z żydowskiej, ortodoksyjnej szkoły w Melbourne, należącej do chasydów z Góry Kalwarii. Litzman chronił pedofilkę, chociaż dobierała się do dzieci jeszcze zanim wyjechała do Australii. Przy okazji wyszło, że robił przekręty finansowe. Wcześniej znano go szerzej jedynie z tego, że nie podawał ręki obcym ministrom zdrowia, jeśli były to kobiety. Był zawsze „wierny Torze”.

Mało tego, skandal wywołany filmem dokumentalnym Yolande Zauberman „M”, grozi pogłębieniem obaw premiera. Film mówi o wielkiej społeczności haredim z Bene Berak pod Tel-Awivem, założonej przez polskich chasydów z Góry Kalwarii. Wynika z niego, że pedofilia jest wśród mieszkańców tolerowana i trwa od niepamiętnych czasów, jak rodzaj cichego obyczaju. Chodzi tu o zwykłych ojców rodzin, którzy gwałcą dzieci i wymieniają

się nimi. Wyznania jednej z ofiar (i sprawców) są bardziej niż szokujące. Badania opinii dowodzą, że większość wyborców nie zwraca uwagi na liczne przekręty finansowe i oszustwa polityczne Netanjahu, o których mówi prokuratura, ale nieco inaczej jest z haredim – ich afery obyczajowe zaczynają niecierpliwić. Jeśli Netanjahu przegra, to z powodu seksu.

Przeciw lewakom

Wśród żydowskich partii szansę na wejście do Knesetu ma tylko jedno ugrupowanie lewicowe – Mercaj dowodzony przez Tamar Zandberg może zdobyć kilka miejsc. Mercaj to lewicowi syjoniści, a więc ich lewicowość jest ograniczona, ale to i tak lepiej, niż resztki Partii Pracy, która już dawno stała się czymś w rodzaju naszej PO. Ten brak lewicy nie przeszkadza Netanjahu nazywać pogardliwie swych głównych konkurentów „lewakami”, zapewne, by postawić wyraźniejsze granice. Ci „lewacy” to koalicja Niebieskobiałych (od kolorów flagi izraelskiej), utworzone w lutym ugrupowanie wyborcze pod wodzą gen. Benny’ego Gantza, byłego szefa izraelskich sił zbrojnych. Dziś to jedyny konkurent Netanjahu do stanowiska premiera. Różnica jest taka, że premier chwali się na wielkich billboardach bliskością z Trumpem, a Gantz używa jego sloganu „Najpierw Izrael”.

Niebieskobiali, do których dołączyło dwóch innych b. dowódców izraelskiego wojska gen. Gabi Aszkenazi i gen. Mosze Yaalon, to narodowa centroprawica o dość niejasnym programie. Gantz obiecuje walczyć z korupcją i nie dopuszczać rasistów do rządu (co właśnie zapewniło mu nazwę „lewaka”), ale poza tym rwie się do wojny z Iranem i zapowiada „żelazną rękę” wobec Palestyńczyków. Wypuścił nawet spot wyborczy, w którym zapowiada, że spacyfikuje Gazę za pomocą rakiet i tzw. pozaprawnych egzekucji.

W tej kwestii Netanjahu łatwo go jednak prześcignął nakazując prawdziwe, „wyborcze” bombardowanie zamkniętej Strefy Gazy,

które dostarcza dużo bardziej spektakularnych zdjęć i ma świadczyć o większym patriotyzmie i zdecydowaniu premiera.

Palestyński blues, żydowska maryśka

Palestyńscy obywatele państwa żydowskiego (18 proc. ogółu) zdobywają zwykle 10-15 miejsc w Knesecie. W tym roku, dzięki SN, próba eliminacji jednej z dwóch list arabskich się nie powiodła, ale generalnie i tak ta reprezentacja nie ma wpływu na politykę izraelską, służąc raczej fałszywemu twierdzeniu o demokracji w tym kraju. Jak pisał kiedyś sławny dziennikarz „Haarec” Gideon Levy, „Kneset jest jak autobus, w którym palestyńscy i żydowscy pasażerowie jadą rozdzieleni przestrzenią apartheidu: Arabowie od początku byli zdyskwalifikowani”. Z jednej strony budzi to wśród nich chęć bojkotowania wyborów, z drugiej zapewnia tej mniejszości jakiegokolwiek istnienie polityczne.

Mogą tylko obserwować dziwactwa izraelskiego życia politycznego, jak jedyną właściwie nową partię, która ma szanse na pokonanie progę: ugrupowanie Mosze Feiglina deklarujące legalizację marihuany. Wbrew pozorom, nie ma ono nic wspólnego z „Peace and love” – trawka tak, ale partia o nazwie Tożsamość jest zawziętym wrogiem idei państwa palestyńskiego, popiera budowę Trzeciej Świątyni w Jerozolimie, jest za całkowitym zakazem udziału gojów w izraelskiej polityce i za pogłębieniem apartheidu poprzez odebranie kolejnych praw Palestyńczykom tak, by sami wyjechali z kraju. Oczywiście, jak reszta skrajnej prawicy, chce ograniczyć kompetencje Sądu Najwyższego.

Wygląda na to, że to właśnie Feiglin i jego Tożsamość mogą zdecydować o przyszłym rządzie, poprzez wybór, do kogo zechcą dołączyć. Netanjahu już obiecał, że zalegalizuje trawkę, ale i Niebieskobiały są na to otwarci. Ci ostatni prowadzą w sondażach, ale Likud ma większe możliwości stworzenia większościowej koalicji, choćby łączyła ultranacjonalizm z

religią i marihuaną. W każdym razie, nawet gdyby po wyborach z 9 kwietnia to Gantz został premierem, nie należy oczekiwać jakiejś radykalnej zmiany w postępowaniu Izraela.

Autorstwo: Jerzy Szygiel

Źródło: Strajk.eu